

Teksty Drugie 1999, 4, s. 61-73



# Zniszczenie centrum

Jerzy Jarzębski

## Jerzy JARZĘBSKI

### Zniszczenie centrum

Dwa miasta: obecna i poprzednia stolica Polski. Różne od siebie tak, jak może różnić się średniowieczny gród z zamkiem na skale i setką świątyń od pobudowanego głównie w trzech ostatnich stuleciach centrum przemysłowego i administracyjnego, które spoglądało zawsze raczej w przyszłość niż w historię. Plany tych miast równie odmienne: Kraków obudowany koncentrycznie wokół starego rynku narastał – niczym pień drzewa – słojami. Warszawa odsunęła na bok swoją Starówkę, rozwijając kratownicę ulic nowego centrum na sposób bardziej nowomodnie amerykański. I wreszcie los dwudziestowieczny: Kraków wymknął się jakoś groźbom historii i pozostał w środku prawie nietknięty. Warszawa przeciwnie – zniszczona do korzeni przez wojnę i planową akcję destrukcji prowadzoną przez wojska hitlerowskie – od lat wojennych wciąż jest odbudowywana i rekonstruowana w myśl zmieniających się ideologii i estetyk.

Mieszkać w Krakowie i mieszkać w Warszawie – znaczyło zawsze dwie różne rzeczy. Szczególnie w XX wieku te różnice rozjątrzone zostały do największego stopnia. Kraków jako „dom” dawał niejako schronienie w dziejach, był zawsze siedzibą mityczną, bliską narodowych sanktuariów i świętości, „polskim Akropolis”, a więc „domem-świątynią”, w którym każdy element zakorzeniony jest głęboko w czasie i tradycji. Warszawa inaczej – dając poczucie egzystencji „blisko życia”, w centrum politycznych i ekonomicznych wydarzeń, uwydatniała raczej kruchość ofiarowanej człowiekowi siedziby, jej podatność na katastrofy i kataklizmy. Dom warszawski to raczej ten dom z *Pamiętnika* Mirona Białoszewskiego: dom posiekany pociskami, zmieniony w rumowisko, zredukowany do piwnicy, w której tymczasowo, w biegu, ludzie znajdują schronienie w ucieczce przed zagładą<sup>1</sup>. W moim

---

<sup>1/</sup> Już po napisaniu tego tekstu przeczytałem bardzo interesującą książkę Marty Zielińskiej *Warszawa – dziwne miasto* (Warszawa 1995). Autorka poświęca tam szczególnie dużo miejsca motywowi kruchości warszawskiej substancji fizycznej, przez którą przechodzą wciąż kolejne fale zniszczenia.

## Szkice

krakowskim mieszkaniu znajdują się – uratowana cudem z powstania warszawskiego – faszzerowana odłamkami bomby mała toaleta i podziurawione pociskami albumy z rodzinnymi fotografiami sprzed wojny; depozyt, jaki wystawiana częściej na wiatry historii Warszawa złożyła w łonie bezpieczniejszego, krakowskiego locum.

Nawet śmieszności tych domów różne – Kraków bowiem wydaje się na śmiech jako stolica konserwatywnego mieszczaństwa – tego z *Moralności pani Dulskiej* czy satyr Boya, Warszawa raczej jako miejsce, w którym realizowały się inteligenckie, społeczne utopie – czy to w wersji Żeromskiego, czy Berenta, czy wreszcie Młodziaków z *Ferdydurke*. Domy te więc nawet w swej nieautentyczności lub w grotesce były inne: każdy uczepony odrębnego paradygmatu i swoistej dla siebie tradycji.

Czasy komunizmu obeszły się z Krakowem i Warszawą odmiennie, z obydwu jednak czyniąc mit. W literackich obrazach Krakowa po 1945 roku przeważa oczywiście *st a r o ś ć, t r a d y c j a, k o n s e r w a t y z m* – w obrazach Warszawy – *n o w o ś ć, n o w o c z e s n o ś ć*, ale też nieodłączna od nich *t a n d e t n o ś ć i s z t u c z n o ś ć*. Obydwa miasta – już przedtem odmiennie – w latach powojennych odplynęły od siebie jeszcze bardziej, upodabniając się już tylko w peryferyjnych dzielnicach, zabudowanych przez najbrzydsze, standardowe osiedla mieszkaniowe. A przecież nowa władza i nowa ideologia przypuściły – zarówno w Krakowie, jak w Warszawie – generalny szturm na wytworzoną przez wieki strukturę przestrzenną tych miast, próbując przeobrazić je na nową modłę. W obydwu przypadkach ów atak przeprowadzano inaczej i dał on odmiennie rezultaty, choć podbudowa ideowa była tu i tam podobna. Tradycyjne miasto jest przestrzenią w wysokim stopniu niejednorodną i zhierarchizowaną. Obudowuje się, jak owo pierwotne osiedle, o którym pisał Eliade<sup>2</sup>, wokół miejsca świętego, środka świata, osi jego obrotu, którą może być totemowy słup, ale równie dobrze – wieża kościoła. Odległość od tego środka wyznacza społeczne znaczenie poszczególnych miejsc przestrzeni. Klasycznym przykładem takiego miasta o centralistycznym układzie jest Kraków, w którym najstarsze, najbogatsze i najbardziej zasłużone rodziny zamieszkiwały kamienice przy Rynku Głównym i w jego okolicy, sfery urzędnicze i średniozamożne zajmowały na ogół obszar miasta pomiędzy pierścieniem starych fortyfikacji a tzw. drugą obwodnicą, dalej zaś mieszkali na ogół robotnicy, drobni rzemieślnicy czy sklepikarze. Nie były to oczywiście reguły żelazne, ale raczej statystyczne, co nie przeszkadzało widzieć w Krakowie miasta, w którym struktura socjalna przekłada się na strukturę przestrzenną. W Warszawie przedwojennej układ przestrzenny miał mniej scentralizowaną formę, niemniej mówiło się zawsze o „robotniczej” Woli i Powiślu, „urzędniczo-inteligenckim” Żoliborzu czy Saskiej Kępie, podczas gdy śródmieście zamieszkiwała wielka i średnia burżuazja.

---

<sup>2/</sup> Por.: M. Eliade *Obrazy i symbole. Szkice o symbolizmie magiczno-religijnym*, rozdz. 1: *Symbolizm „Środka”*, przeł. Magda i Paweł Rodakowie, Warszawa 1998. Na ten sam temat także: M. Porębski *O wielości przestrzeni*, w: *Przestrzeń i literatura*, pod red. M. Głowińskiego i A. Okopień-Sławińskiej, Wrocław 1978.

## Jarzębski Zniszczenie centrum

Atak, jaki przypuszcza nowa władza na samą strukturę miasta, ma charakter *stricte* ideologiczny. Odbywa się przede wszystkim pod hasłem „lud wejdzie do śródmieścia”, które było tytułem wiersza Adama Ważyka z jego *Nowego wyboru wierszy*, wydanego w roku 1950. Ale do śródmieścia lud wchodził inaczej w Krakowie, gdzie centrum od wieków było zamieszkane, inaczej w Warszawie, gdzie po zniszczeniach wojennych stanowiło pokrytą zwalami gruzów pustynię. W Krakowie narzędziem burzenia struktury społecznej miasta były nowe, drakońskie przepisy kwaterunkowe, ograniczające powierzchnię przypadającą na jednego mieszkańca do dziesięciu, a potem nawet do siedmiu metrów kwadratowych. Wielkie mieszkania w centrum stały nagle przed groźbą inwazji ze strony napływających z zewnątrz ludzi z administracyjnym przydziałem w rękę. Zajmowali oni „nadmetraże” w trybie przypominającym żywo praktykę władzy sowieckiej po rewolucji i opisanym już świetnie w literaturze przez Bułhakowa czy choćby Aleksego Tołstoja<sup>3</sup>. Przepisy, które niby tłumaczyły się ciężką sytuacją na rynku mieszkaniowym po wojnie, stały się w rzeczywistości – co także już opisywano<sup>4</sup> – narzędziem bezlitosnego terroru, łamiącym obszar intymności i niekiedy wydającym mieszkających tam ludzi na łup politycznej inwigilacji. Drugim narzędziem w rękach prawodawców były przepisy o regulacji czynszów, skierowane przeciw „kamienicznikom”, a w rzeczywistości mierzące prosto w materialną substancję miasta. Z dnia na dzień posiadanie kamienicy zmieniło się z finansowego zabezpieczenia w nieznośną uciążliwość i źródło kłopotów. Za czynsze pobierane od lokatorów „kamienicznik” nie mógł nie tylko sam przeżyć, ale nawet zapewnić swemu domowi minimalnych remontów, ba, bez urzędowego przydziału nie miał tam nawet prawa zamieszkać.

Rezultatem tej polityki była postępująca gwałtownie ruina najbardziej wartościowych kamienic w centrum, a także – wynoszenie się co lepiej sytuowanych mieszkańców do nowych, betonowych osiedli, gdzie otrzymywali mieszkania małe wprawdzie i tandetnie wykończone, ale przynajmniej samodzielne i wyposażone nieco nowocześnie. W centrum pozostawał w miarę upływu czasu element napływowo – ludzie najbiedniejsi, często z kryminalnego marginesu. Ta degradacja – zarówno materialna, jak społeczna – krakowskiego starego miasta uderzała przybyszów w ostatnich latach panowania komunizmu.

W powojennej Warszawie inne były zarówno realia, jak sytuacja prawna. Nacjonalizacja ziemi i pozostałych zasobów mieszkaniowych wykluczyła „walkę z kamienicznikami”. Hekatomba powstania i masowy exodus starych warszawiaków w naturalny sposób pozostawiały miejsce dla nowo przybyłych, lud wchodził więc do śródmieścia w zasadzie bez poważniejszych konfliktów. W pierwszych latach po

---

<sup>3/</sup> Por.: M. Bułhakow *Mieszkanie Zojki*, przeł. K. Tur, w: *Bieg. Utwory sceniczne*, Białystok 1994; A. Tołstoj *Droga przez mękę*, tłum. W. Broniewski, Warszawa 1962.

<sup>4/</sup> Np. w doskonałej książce Swietłany Boym *Common Places: Mythologies of Everyday Life in Russia*, Harvard University Press, Cambridge Mass–London 1994.

## Szkice

wojnie najważniejsza była odbudowa tego, co odbudować się dało – i to zadanie jednoczyło nie tylko warszawiaków, ale, bez przesady, niemal wszystkich Polaków. Prędko jednak – zaraz po umocnieniu stalinistów w aparacie władzy w końcu 1948 roku – Warszawa jako przestrzeń mieszkalna stała się poligonem wielkiego, ściśle zideologizowanego eksperymentu. O jego zakresie dobre pojęcie daje, wydany jako ilustrowane rozwinięcie referatu prezydenta Bieruta, monumentalny tom pt. *Sześćdziesiątletni plan odbudowy Warszawy*<sup>5</sup>. Prezentował on wizję miasta wzorowanego na realizacjach sowieckich, miasta, w którym funkcje centrowe przejmował od handlu i biznesu gigantycznie rozbudowany aparat biurokracji i władzy politycznej. W centrum tej nowej Warszawy pysznił się dwustutrzydziestocztymetrowy Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina – przez wiele lat drugi co do wysokości (po moskiewskim Uniwersytecie im. Łomonosowa) budynek Europy, dopiero ostatnio zdystansowany przez nowe wieżowce Frankfurtu i Londynu. Przewyższał on kilkakrotnie najwyższy przed wojną szesnastopiętrowy biurowiec Prudentialu i był tym totemowym słupem, który nowa władza wbiła w centrum zawłaszczonyj stolicy.

Czy jednak udało się komunistom ustanowić tym symbolicznym aktem nowy „środek” – Kosmosu i Miasta? Z tym było trudniej. Szczególne funkcje, jakie miało spełniać centrum, wyobrażano sobie wówczas dość prosto: miało ono skupiać urzędy państwowe i – w ograniczonej mierze – domy towarowe z nieco lepszym niż gdzie indziej zaopatrzeniem, a ponadto – być dogodnym miejscem dla kierowanych odgórnie manifestacji. Lud tańczący na rynku Mariensztatu lub idący bezkresnym pochodem przed trybuną na placu Defilad – tak wyobrażano sobie idealne wypełnienie funkcji centrum i takie obrazy notowały z lubością filmy, kroniki filmowe, powieści i artykuły okolicznościowe z tamtego okresu. Ludzie oblepiający stopnie tramwajów (indywidualna motoryzacja praktycznie nie istniała), kolejki do sklepów po najprostsze towary, pokątny handel w bramach i na bazarach – a zatem to wszystko, co stanowiło o codzienności życia warszawiaków, trafiało do oficjalnych zapisów raczej sporadycznie. Zarazem cenami gruntów nie sterował rynek, co pozwoliło z jednej strony na niezwykłą niekiedy rozrzutność w gospodarowaniu przestrzenią, a z drugiej – na lokowanie inwestycji budowlanych w miejscach najzupełniej absurdalnych. Doskonałym tego świadectwem jest zbudowane już w czasach Gierka Osiedle za Żelazną Bramą: luźno rozrzucona garść ogromnych, wolno stojących, tandetnych bloków mieszkalnych, zajmujących potencjalnie najdroższą przestrzeń centrum stolicy i zarazem rujnujących – może raz na zawsze – tradycyjny układ ulic w tym rejonie miasta.

Jeśli, jak powiada Greimas<sup>6</sup>, miasto jest komunikatem, który można czytać, to Kraków swym wyglądem komunikował pauperyzację właścicieli budynków, War-

---

<sup>5/</sup> B. Bierut *Sześćdziesiątletni plan odbudowy Warszawy*, układ i opracowanie całości S. Jankowski i in., Warszawa 1950.

<sup>6/</sup> A. Greimas *Ku semiotyce topologicznej*, przeł. A. Grzegorzczak i E. Umińska-Plisenska, w: E. Leach, A. Greimas *Rytuał i narracja*, Warszawa 1989.

## Jarzębski Zniszczenie centrum

szawa zaś inaczej: wszechwładzę wielkiego, państwowego inwestora, który budo-  
wał tak, jak było mu najwygodniej, bez oglądania się na tradycję, względy estetycz-  
ne, wygodę mieszkańców czy rzetelny (a więc „kapitalistyczny”) rachunek ekono-  
miczny. To z wszechwładzy inwestora wynikają pomysły takie, jak ów szpetny  
„najdłuższy budynek Europy”, który wzniesiono naprzeciw dworca Warszawa  
Wschodnia – długi pewnie dlatego, aby budowę obsługiwać mógł jeden, toczący się  
po szynach dźwig. Z tej samej wszechwładzy rodzą się pomysły gigantycznych  
osiedli na peryferiach, gromadzących dziesiątki tysięcy mieszkańców w rzędach  
jednakowych bloków, wśród których błdzi bez ratunku każdy przybysz  
z zewnątrz.

Na kształt Warszawy powojennej wpłynęło wszystko po trosze: zniszczenia do-  
konane przez najeźdźców, wymogi ideologii, głód mieszkań powodujący, że w cen-  
trum stawiano głównie bloki mieszkalne, przewaga inwestora nad wszystkimi in-  
nymi uczestnikami budowlanego łańcucha i wreszcie – zmieniające się uwarunko-  
wania demograficzne. Powstało zatem po wojnie miasto sławione w piosenkach  
i stawiane za wzór w publicystyce, w rzeczywistości będące jednak dziwną hy-  
brydą, w której tradycja klóciła się ze współczesnością, a w centrum straszły  
(i straszą do dziś) fragmenty wielkich, nie dokończonych założeń urbanistycz-  
nych, wywołujące przemożne wrażenie architektonicznej kakofonii. A co stało się  
z „ludem”? Z tymi przysłowiowymi już przybyszami ze wsi, hodującymi kozę na  
balkonie i króliki w „niepotrzebnej” wannie? Ich wrastanie w cywilizację miejską  
i proces przyswajania sobie nowej tożsamości jest z pewnością pasjonującym te-  
matem dla socjologa. Zanim jednak do tego doszło, zanim też w Krakowie nacisk  
nowej, dzisiejszej rzeczywistości ekonomicznej wypędził z centrum ludzi margi-  
nesu i wprowadził w nie na powrót śródmiejskie atrakcje, obydwa miasta przeżyły  
swoistą chorobę – charakterystyczną pewnie dla wielu miast tej części świata,  
a znajdującą wyraz w literaturze. Była to choroba, której ulegało miasto jako pe-  
wien organizm społeczny i jako „dom” w skali większej, ponadindywidualnej i mi-  
tycznej – przypadłość trudno uchwytna na pierwszy rzut oka, a odbijająca się  
głównie w przekazach literackich. Choroba ta – to zatarcie wyraźnej struktury  
przestrzeni, utrata przez centrum jego specyficznych cech i funkcji, co wiąże się z  
szczególną dezorientacją mieszkających tam ludzi, poczuciem zagubienia i nie-  
rzeczywistości.

To poczucie zagubienia i destrukcji dość długo musiało sobie torować drogę do  
literackiego wyrazu – głuszone przez kilka lat za pomocą programowo optymi-  
stycznej twórczości socrealizmu. Bodaj pierwszym ogólnie znanym tekstem lite-  
rackim, w którym portret nowej Warszawy prezentował się w sposób nieortodok-  
syjny, była sensacyjno-kryminalna powieść Leopolda Tyrmanda, *Zły*, wydana w  
1955 roku. *Zły* – dzieło kontrowersyjne, korzystające bezwstydnie z chwytów lite-  
ratury brukowej – przemycił mimochodem wizję miasta, która nie mogła się podo-  
bać ówczesnym władzom politycznym – tak dalece bowiem odbiegała od lukrowa-  
nych wizerunków powstających w socrealistycznym duchu. Bodaj Jan Walc zauwa-

## Szkice

żył pierwszy, jak szczególnie jest to portret<sup>7</sup>. Bohaterowie Tyrmanda odmawiają uznania tym inwestycjom nowego centrum Warszawy, które były wizytówką nowego ustroju. Przechodzą wiele razy obok Domu Partii, ale nigdy go nie zauważają, Pałac Kultury jest dla nich jedynie mającącym z dala „wieżowcem” na „największym placu Europy”, pod którego budowę zburzono całą dzielnicę<sup>8</sup>. Pióro autora ożywia się za to przy opisie warszawskich bazarów, zajmujących w tamtych latach partery i podwórza zrujnowanych kamienic w samym centrum miasta. To tam dzieją się różne nieprawości, tam gnieździ się kryminalny element, ale zarazem tam bije prawdziwe serce tego miasta, są tam bowiem ludzie, którzy – wbrew szkanom władz – postanowili wziąć swój los we własne ręce i decydować suwerennie o swoim życiu. W powieści Tyrmanda zaznacza się zatem z całą dobitnością konflikt, jaki wynika ze stalinowskich projektów odbudowy Warszawy: architekci wznoszą pod dyktando ideologów<sup>9</sup> nowe gmachy i place centrum, starzy warszawiacy jednak nigdy ich do końca nie zaakceptują<sup>10</sup>, wybierając te miejsca, gdzie toczy się życie, gdzie trwa prywatny handel i robi się interesy – choćby nawet miejsca te urągały estetyce i powszechnym wyobrażeniom o tym, jak ma wyglądać centrum stolicy.

Debiutujący jako pisarz równoległe z Tyrmandem, choć o kilka lat od niego młodszy, Marek Hłasko pokazuje w swoich wczesnych opowiadaniach tę samą Warszawę, ale już bez romantyzmu czy nawet patosu, z jakim niekiedy Tyrmand mówił o swoim mieście. Warszawa Hłaski jest brudna, zrujnowana, pełna ludzi zdegradowanych i zniszczonych życiowymi przejściami, pozbawionych przeto wyższych uczuć. Ale najbardziej może znaczący w Hłaski obrazie miasta jest brak struktury: jego Warszawie rozpaczliwie brakuje „pięknych dzielnic”, „lepszego towarzystwa”, jest po prostu wielką przestrzenią zabudowaną szpetnymi i brudnymi domami, zapełnioną tłumem ożywionym jedynie duchem cynizmu i agresji. W tym tłumie niepodobna odróżnić od siebie drobnych cwaniaczków, artystów czy profesorów uniwersytetu. Wszyscy spotykają się w tym samym obskurnym barze, aby utopić swe poczucie kłęski w setce takiej samej lichej wódki „z czerwoną kartką”. Ostatnim *residuum* odświętności jest w tym świecie miłość, ale właśnie

---

<sup>7/</sup> Por.: J. Walc *Fotografia Atlantydy*, w: *Wielka choroba*, Warszawa 1992.

<sup>8/</sup> Walc zwraca uwagę na wspaniałe oksymoroniczne sformułowanie Tyrmanda z wywiadu w „Expressie Wieczornym”, o Warszawie „padającej pod obuchem odbudowy”, por. tamże, s. 175. Nb. Walc myli się pisząc, że bohaterowie *Zlego* ani razu nie wchodzą na plac Konstytucji – robią to nawet parokrotnie, Tyrmand – ze swym doskonałym wyczuciem miasta – odgadł od razu, że ta akurat inwestycja, choć przyprawiona ideologią, tworzyła jednak jakieś wartościowe wielkomiejskie „wnętrze”.

<sup>9/</sup> Warto wspomnieć tutaj zapis kuriozalnej dyskusji w tonie najwyższych władz na temat ideologicznej wymowy posągów zdobiących kolumnady Pałacu Kultury czy równie dziwaczne wskazania na temat pożądanej architektury Dworca Centralnego, które na wiele lat opóźniły jego budowę.

<sup>10/</sup> Pałac Kultury witali starzy warszawiacy stosownie przerobioną frazą z narodowego hymnu: „Co nam obca przemoc dała, nocą rozbierzemy”

## Jarzębski Zniszczenie centrum

miłość potrzebuje dla siebie miejsca specjalnego, wyłączonego z przestrzeni publicznej, niedostępnego dla powszechnej wulgarności i chamstwa. Bohaterowie *Ósmego dnia tygodnia* desperacko walczą o taki skrawek „przestrzeni odświętnej” dla siebie – ale znaleźć go nie sposób i ich miłość ponosi klęskę.

Znamienne były losy filmowej adaptacji opowiadania, dla której reżyser, Aleksander Ford, znalazł scenerię na odbudowanej warszawskiej Starówce, pełniącej wówczas – na odwrót – rolę swoistej atrapy miejsca odświętnej, opatrzonej oficjalną pieczęcią i pełniącej rolę propagandową<sup>11</sup>. Ta wewnętrzna sprzeczność rozsadziła film i spowodowała, że rozsierdzony Hłasko wycofał swoje nazwisko z czołówki.

Najbardziej charakterystyczne obrazy Warszawy lat komunizmu malowano z perspektywy bądź „oddolnej”, bądź „odgórnej”. „Od dołu” widzi Warszawę Marek Nowakowski w całym szeregu tomów opowiadań, ukazujących środowiska drobnych kryminalistów, oszustów i innych ludzi marginesu, „od góry”, tzn. od strony artystyczno-politycznych salonów stolicy spoglądają: Leopold Tyrmand w *Życiu towarzyskim i uczuciowym*, Tomasz Staliński (Stefan Kisielewski) w powieści – nomen omen – *Widziane z góry* czy Jerzy Andrzejewski w *Miazdze*. Wszystkie trzy ostatnie powieści podają jednak w wątpliwość prawe pochodzenie warszawskiej „arystokracji” – literatury, sztuki czy polityki. Społeczne „centrum” – z nielicznymi wyjątkami – nieodległe jest od marginesu; także razi tandetą, a jego splendory czy nawet materialne dostatki mogą budzić politowanie, jeśli je zestawimy z prawdziwym „wielkim światem”, który zawsze jest gdzie indziej – w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. Z obydwu stron – z góry i z dołu zarazem – spogląda na miasto i jego mieszkańców Konwicki w swoich „warszawskich” powieściach: *Wniebowstąpieniu*, *Kompleksie polskim*, *Malej apokalipsie* (nie mówiąc już o „łże-dziennikach”). I może właśnie w książkach Konwickiego najlepiej można dostrzec zanik społecznej struktury. W *Kompleksie polskim* autor ustawia swych bohaterów w kolejce po ostatnią nie zdewaluowaną wartość w komunistycznym państwie – po złoto. Ale społeczeństwo stojące w kolejce nie może już – jak zauważył bodaj Stanisław Barańczak – komunikować się normalnie, a co więcej, samo ustawienie prowokuje w jego łonie konflikt, rodzący się zawsze tam, gdzie wszyscy z natury rzeczy konkurują o jakies reglamentowane dobra. Człowiek ze społeczeństwa-kolejki nie ma wyraźnej tożsamości, a raczej – zawsze nosi maskę i ukrywa swe pochodzenie; nie ma też normalnego domu: bohaterowie Konwickiego koczują na klatce schodowej, przeżywając tam najbardziej domowe ze wszystkich polskich świąt – wigilię Bożego Narodzenia. Oczekiwanie na Zbawiciela zastępuje tam bezowocne i absurdalne czekanie na dostawę towaru. Podobnie „bezdomny” staje się bohater *Malej apokalipsy*, błądzący po labiryncie miasta w drodze na własną Golgotę, czy konspirator z *Rzeki podziemnej, podziemnych ptaków*. W Warszawie nie ma też domu pozbawiony

<sup>11/</sup> Jak pisze Czesław Bielecki – „Warszawska Starówka była przed wojną slumsem. Odbudowana jako osiedle robotników, inteligentów i artystów zmieniła strukturę społeczną i strukturę użytkowania. [...] Tkanka miejska stała się tutaj rodzajem falsyfikatu, makietą miasta historycznego” (Cz. Bielecki *Gra w miasto*, Warszawa 1996).



## Szkice

pamięci bohater *Wniebowstąpienia*. I nic dziwnego: dom warszawski – jeśli nawet istnieje – musi być dla Konwickiego sztuczny i podejrzany – ten prawdziwy bowiem był pod Wilnem, w okolicy dzieciństwa i młodości pisarza.

Bohaterowie Konwickiego, Nowakowskiego chętnie też schodzą w rejony nieoficjalne miasta, w jego obskurne zakamarki, albo wręcz do podziemi, które rozgałęziają się pod centrum i zrównują ze sobą – jak szczególnie podziemia z *Malej apokalipsy* – miejsca o różnej skali ważności: śródmiejską knajpę i gmach KC komunistycznej partii. Podziemia są w tych utworach miejscem, gdzie bohaterowie żyją prawdziwiej – to znaczy, w większej wzajemnej bliskości i z dala od oficjalnych hierarchii. Ale w tej labiryntowej strukturze brakuje prawdziwego „środku”, świętego miejsca, do którego można by dążyć. A jeśli nawet jest, to zdegradowane i wystawione na kpinę, jak w *Malej apokalipsie* ów ostatni w Polsce magazyn wykwintnego żarcia, które zgromadzili władcy PRL pod gmachem partii, aby świętować bankietem ostateczną utratę niepodległości.

W odpychających, wrogich obrazach miasta – szczególnie Warszawy – celowała zwłaszcza literatura lat siedemdziesiątych, najbardziej oryginalną wizję stworzył jednak Janusz Anderman w rozgrywającej się w krakowskich realiach *Grze na zwolokę*. Bohater tej powieści także jest bezdomny i błądzi po ulicach, tułając się od jednej przypadkowej mety do innej. Autor wyposażył go jednak w podwójną świadomość: bohater w każdym momencie widzi sam siebie oczyma hipotetycznego agenta bezpieczeństwa i „pisze na siebie raport”. Niezależnie więc od tego, w jak nieoficjalne zakamarki zabłądzi w swej ciągłej ucieczce – nigdzie nie znajdzie miejsca naprawdę intymnego i zapewniającego poczucie bezpieczeństwa. Zarazem raport jest taki, jaki może być prymitywny, szeregowy szpicel – równie jak on głupi i prymitywny. Bohater wymajacza sobie więc nad sobą coś w rodzaju wszechobecnej „Opatrzności”, ale właśnie owa „Opatrzność” ulega najdalej idącej degradacji<sup>12</sup>.

Choroba, na jaką zapadła przestrzeń miejska w czasach komunistycznych w Polsce, ma więc całkiem realne podstawy w ideologicznie zorientowanym prawodawstwie i urbanistycznych projektach, ale jej skutki sięgają w rejony psychologii społecznej, owocują w postaci zbiorowych psychoz, poczucia zagubienia i nierzeczywistości tak a nie inaczej przyrządzonego dla mieszkańców miejskiego świata. Życie w miarę normalne mógł w nim wieść albo ktoś, kto uwierzył w realność państwowo-partijnych splendorów i symboli władzy nad przestrzenią, albo ten, kto dysponował osobowością na tyle silną i niepodległą, by w chaotycznym, otaczającym świecie wytyczyć sobie własne szlaki, indywidualne miary i struktury. Tak czynił Miron Białoszewski, obudowujący każdy z kolejnych swoich adresów jak gdyby prywatną mapą i znakami wartości<sup>13</sup>. Białoszewski jednak prze-

---

<sup>12/</sup> Więcej na temat książki Andermana pisałem w artykule *Co się zdarzyło w teatrze mowy?*, w: *Powieść jako autokreacja*, Kraków 1984.

<sup>13/</sup> O Białoszewskiego osławianiu przestrzeni patrz: A. Legeżyńska *Dom Mirona Białoszewskiego*, w: *Pisanie Białoszewskiego. Szkice*, pod red. M. Głowińskiego i Z. Łapińskiego, Warszawa 1993.

## Jarzębski Zniszczenie centrum

strzeń swą traktował szczególnie: była ona jak gdyby programowo przestrzenią peryferii – niezależnie od tego, czy poeta mieszkał w centrum, trzysta metrów od Pałacu Kultury, czy na dalekim Grochowie. W czasach, gdy dawne „centrum”, tzn. wcielona w strukturę przestrzeni hierarchia społeczno-kulturowych wartości, zostało zniszczone, a uwierzyć w nowe centrum lub, co gorsza, dążyć do niego – oznaczało: dać się uwieść kulturze nieautentycznej, fasadowej, zideologizowanej, „peryferyjność” zdawała się być jak gdyby jedyną racją bytu intelektualisty czy artysty. Jeśli zatem przyjrzymy się uważniej właśnie przestrzennym wyznacznikom kultury i literatury, to dostrzeżemy, że cała ona w tamtych czasach opierała się na swoście rozumianym przeżyciu peryferyjności i na grze dystansem. Przykładów na to aż za dużo: po pierwsze – podkreślanie prowincjonalności polskiej kultury i polskiej sytuacji – tak ostentacyjne np. u Mrożka, Różewicza, Głowackiego; po drugie – lokowanie punktu odniesienia i idealnego metra dla twórczości krajowej na emigracji – w pisarstwie Gombrowicza czy Miłosza; po trzecie – niezwykła po wojnie kariera tematu kresów w literaturze, a obok ekspozycyjna rola nurtu chłopskiego czy prozy marginesu społecznego. Tematem numer jeden powojennej literatury w Polsce zdaje się być wykorzenienie – co nie powinno dziwić w państwie, które na mocy międzynarodowych traktatów „przesunęło” o paręset kilometrów na zachód, zmieniając zarazem skład i strukturę jego społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że polski „dom prawdziwy”, dom dzieciństwa znajdował się dla pisarzy powojnia najczęściej za wschodnią granicą lub na wsi czy w szlacheckim dworze albo przynajmniej w niegdysiejszej porządek, mieszczańskiej kamienicy, a zatem „gdzie indziej”, poza obszarem możliwego tu i teraz doświadczenia. Poczucie zagubienia i niepewności nie brało się chyba jednak z oderwania twórców od miejsc urodzenia, lecz stąd, że w miejsce przestrzeni odebranej lub porzuconej nie pojawiała się nowa, której dałoby się przypisać sensowność i strukturę, a mówiąc ściślej: owa przestrzeń – zdegradowana i pozbawiona twarzy – nie dawała widoków na ponowne zakorzenienie, brak jej bowiem było prawdziwego centrum, takiego mianowicie, jakie tworzy nawarstwienie sakralności, skumulowanej w architekturze i ludziach tradycji i wreszcie owego szczególnego ciśnienia, jakie stwarza wolna, spontaniczna, ożywiona duchem konkurencji i prąca ku miejscom spotkania jak największej liczby ludzi działalność ekonomiczna.

Odwołałem się na początku tego tekstu do dwóch skrajnych przykładów – Krakowa i Warszawy – aby pokazać, że destrukcja centrum miała w latach powojennych miejsce zarówno w ośrodkach, gdzie zachowało się historyczne śródmieście, jak tam, gdzie tworzono je od nowa – według ideologicznego planu. Nawet tam bowiem, gdzie – jak w Krakowie – w centrum ocalało na pozór wszystko, górę brały stopniowo przemiany demograficzne, ruina materialna domów i mieszkań, a także skutki ekonomicznego bezwładu i zrównania w szarości, odbierającego śródmiejskim obszarom atrakcyjność i rys ekskluzywności, bez którego prawdziwe centrum nie może należycie istnieć i funkcjonować.

## Szkice

Ciekawsza jednak od bezpośrednich skutków aktów prawnych i budowlanych przedsięwzięć jest powszechność skali zjawiska i wzajemna przekładalność zjawisk zachodzących w sferze polityki, urbanistyki, kultury, literatury i społecznych nastrojów. W programowo scentralizowanym świecie komunistycznego państwa nastąpiła, paradoksalnie, na wielką skalę erozja centrum, odrzucenie jego nowego kształtu przez społeczeństwo, ucieczka w peryferyjność i marginesy, wreszcie przenosiny tego, co jeszcze w centrum funkcjonowało – życia literackiego – w „podziemną” rzeczywistość drugiego obiegu, który z zasady żadnej centralnej władzy nad sobą nie uznaje.

Cóż z tego zostało dzisiaj – kiedy zmieniły się warunki polityczne? Bez wątpienia, nowa rzeczywistość ekonomiczna zmieniła błyskawicznie centra wielkich miast: nabrały one nowej, innego typu atrakcyjności, a przyływ kapitału wpłynął znacząco na ich wygląd, skład społeczny mieszkańców i to, co oferować one mogą przybyszowi z zewnątrz. O ile jednak proces leczenia w miastach takich jak Kraków – o śródmieściach starych i skupionych na niewielkiej przestrzeni – postępować może szybko, warszawskie centrum choruje nadal i w trapiących go chorobach przeglądają się, lepiej niż w czymkolwiek innym, przypadłości polskiego stanu przejściowego.

Jednym z pierwszych symptomów przemian stał się w Warszawie powrót do centrum bazaru – akt nieomal symboliczny, pośmiertny triumf Tyrmanda i jego fascynacji, zjawisko oznaczające w jakimś sensie powrót do ekonomicznego „stanu zerowego”, kiedy, zaraz po wojnie, akumulował się pierwszy, mizerny jeszcze i prędko zagrabiony przez komunistów polski kapitał. To jednak, co miało być wstępem do uzdrowienia, po kilku latach wygląda raczej na inną wersję choroby. Żywy i ekspansywny bazar na placu Defilad jest dziś raczej symbolem chaosu i nowej degradacji. Wokół, dość bezładnie, rosną nowe wieżowce i w samej rzeczy ów – wspomniany wcześniej jako jeden z ważniejszych wyznaczników śródmiejskości – napór ekonomiczny na centrum stolicy daje się silnie odczuć. Ale centralnie położony bazar nadaje jakby ton tym przemianom, streszcza w sobie to wszystko, co w ekspansji kapitalizmu jest najmniej pociągające: agresywność, pogoń za pieniądzem, pogardę dla biedniejszych i słabszych, wypieranie tradycyjnych wartości przez tandetę. Może więc nie przypadkiem obrazy nowego porządku społecznego i politycznego ogląda się w najnowszej literaturze polskiej niejako przez medium bazaru i jego obyczajowości, a nuworyszów polityki i gospodarki nie sposób tam przedstawiać inaczej, jak na modłę groteskową. Literatura lat dziewięćdziesiątych nadal więc opiewa obszary peryferyjne, do centrów odnosząc się z daleko idącą nieufnością. Nawet takie miasta, jak Gdańsk, pociągają raczej złożonością i niejednoznacznością własnej historii i tradycji, a zatem znów – ściągają wzrok w kierunku obszarów pogranicznych, z dala od skompromitowanej stolicy. „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa!” – śpiewają Sikorowski i Turnau – i ta niesłychanie popularna piosenka odbija coś w rodzaju potocznej wersji poczucia kryzysu centrum.

## Jarzębski Zniszczenie centrum

Nie czeka nas zapewne w Polsce rozwój miast pozbawionych programowo zorientowanej na centrum struktury, czyli aglomeracji typu wielkiego Los Angeles<sup>14</sup> – luźnego konglomeratu połączonych autostradami osiedli. Tradycja tworzenia złożonych i zgęszczonych skupisk, łączących funkcje ekonomiczne, polityczne, kulturowe z bagażem sentymentów i historycznej przeszłości jest w Polsce i w całej Europie bardzo silna. Dlatego to, co dzieje się w Warszawie rozumianej jako pewna przestrzeń urbanistyczna i to, co ją dotyka jako miejsce symboliczne, jako punkt centralny pewnego systemu kulturowych odniesień, jest i chyba będzie sprawą istotną dla Polaków, wyznacznikiem ich psychicznej kondycji, stosunku do własnej przeszłości i teraźniejszości.

Bez wątplenia, odbywa się dziś w Warszawie proces „produktowania przestrzeni” na kapitalistyczną modłę<sup>15</sup>, powstaje coś w rodzaju nowego centrum – handlu, businessu, finansów – miastu daleko jednak na razie do odbudowy autorytetu centrum – na ten pracuje całość kultury, a procesów destrukcji na tym polu nie da się odwrócić ani łatwo, ani szybko. Warszawa pozostaje zarazem jednym z tych miejsc znamienych, w których miała miejsce klęska pewnego typu eksperymentu – eksperymentu polegającego na odgórnie zaplanowanej przebudowie społecznej struktury i rozmieszczenia mieszkańców w przestrzeni śródmiejskiej, połączonej z głęboką zmianą funkcji, jakie owo centrum miałyby pełnić w nowej strukturze miasta. Eksperyment ten nie powiódł się z kilku powodów: najpierw dlatego, że nowe symbole centrum zostały odrzucone – kojarząc się przede wszystkim z narzuconym społeczeństwu nowym reżimem politycznym<sup>16</sup>. Drugą przyczyną klęski był fakt, że w procesie przemian uległa zniszczeniu pewna struktura osiadłości, oparta na tradycji i hierarchii społecznej. „Lud wchodzi do śródmieścia” tak mniej więcej, jak Mroźkowi parobcy z *Zabawy* do pustej świetlicy: w daremnym oczekiwaniu, że jego nowy świat dostarczy mu rozrywki w wyższym stylu, i zarazem – co trudniejsze – poczucia sensu. Oczekiwania te nie spełniają się, niestety, co rodzi frustrację i kompleksy. Więcej: w wielkiej migracji – z peryferii do centrum i na odwrót – traci się poczucie zakorzenienia w przestrzeni i historycznym czasie.

Trzecia przyczyna klęski związana jest ściśle ze zjawiskami natury społeczno-ekonomicznej. Jak pisze słusznie Czesław Bielecki, miasto „powstało jako miejsce spotkań i przestrzeń wolności”, a kształt nadawał mu przez wieki „feno-

---

<sup>14/</sup> Na temat fenomenu Los Angeles por.: E. W. Soja *It All Comes Together in Los Angeles* oraz: *Taking Los Angeles Apart: Towards a Postmodern Geography*, w: *Postmodern Geographies: The Reassertion of Space in Critical Social Theory*, Verso, London, New York 1995.

<sup>15/</sup> O produkowaniu przestrzeni por.: H. Lefebvre *La Production de l'espace*, Paris 1974.

<sup>16/</sup> Stosunek do budowl Warszawy był zapewne ambiwalentny: dla wycieczek z prowincji Pałac Kultury i Domy Towarowe Centrum symbolizowały „wielki świat” – warszawiakom kojarzyły się raczej niejednoznacznie, ich wielkowiejskość była bowiem podejrzana, skażona u podstawy, nie wytrzymująca porównania z tym, co szczęśliwy posiadacz paszportu zagranicznego mógł zobaczyć w rzeczywistych centrach współczesnej Europy czy Ameryki.

## Szkice

men koncentracji”<sup>17</sup>. Dlatego miejskie centrum musi być miejscem fascynującym i przyciągającym tłumy, miejscem szczególnej atrakcji, gdzie zagęszcza się i nakłada na siebie ruch pieszych i pojazdów.

„Spojrzenie na miasto jako fenomen koncentracji – pisze Bielecki – pozwoli uniknąć pułapek, w jakie wpadli wszyscy uzdrowiciele tkanki miejskiej, którzy o tym nie myśleli. Wiele, jeśli nie większość, miast dwudziestowiecznych ma negatywne cechy wsi i miasta tylko dlatego, że ich projektanci i administratorzy zapominali, że to gęstość, intensywność kontaktów międzyludzkich generuje rozwój. Można przecież zbudować osiedle bloków o cechach monstrualnej wsi bez jednego miejsca spotkań. Można w niskiej, gęstej zabudowie stworzyć miejski klimat na jednym skrzyżowaniu ulic”<sup>18</sup>.

Dodajmy do tego, że tak rozumiane miasto jest tworem demokracji, to *demos* bowiem spontanicznie decyduje – tak samo w greckim *polis*, jak w metropolii współczesnej – które miejsca miejskiej przestrzeni napęłnić swym gwarem. Architekt i inwestor może w tych procesach rozumnie uczestniczyć pod tym jedynie warunkiem, że nie zechce ludowi „urządzić życia” i zagospodarować przestrzeni w sposób zbyt arbitralny lub doktrynerski. Dobrze o tym świadczą gigantyczne projekty modernistycznej urbanistyki, jak paryska La Defense z jej olbrzymim, zawsze zbyt pustym forum dla pieszych, lub – w jeszcze większym stopniu – Brasilia, która – realizując w sposób idealny zasadę rozdziału poszczególnych miejskich funkcji – stała się tworem martwym, wcieleniem estetycznej i społecznej utopii.

Powstanie La Defense i Brasilii nie naruszyło jednak w niczym uroków centrum Paryża czy Rio de Janeiro. W Warszawie utopia u władzy stała się agresywna, niszcząc w istocie to, co tworzyło tożsamość tego miasta i co kształtowało oblicze jego mieszkańców. Nie bez kozery mówi się dzisiaj, że prawdziwych warszawiaków już nie ma. Przynajmniej literatura ostatnich dziesięcioleci lokuje ich z reguły na obszarach peryferyjnych, choćby – jak Białoszewski – mieszkali w samym centrum. Czymże jest zatem „peryferyjność” w tym ujęciu? Odrzuceniem centrum w jego postaci ulepionej przez nowe czasy i nową władzę, potraktowaniem go jako przestrzeni *quasi-wiejskiej*, a zatem takiej, w której liczą się tylko prywatne kontakty, nie ma zaś tego szczególnego dreszczu płynącego z zagęszczenia tłumy, realizującego w stosunkowo ciasnej przestrzeni swe różnorodne interesy i fascynacje.

Centrum żywe jest bowiem szczególnym przedłużeniem i dopełnieniem przestrzeni mieszkalnej, „domem” wyższego rzędu o przestrzeni zamkniętej i w sposób bogaty zagospodarowanej. Nie wystarczy w nim tylko mieszkać, jeśli mieszkanie ma być zaledwie wątłą twierdzą chroniącą prywatność, której nie chce się zamienić na bycie na ulicy, wśród innych ludzi. Taką przestrzenią tylko pozornie śródmiejską są w Warszawie monstrualne blokowiska typu Osiedla za Żelazną Bramą. I jeśli w Krakowie procesy społecznej destrukcji nie zaszły tak daleko jak w War-

---

<sup>17/</sup> Cz. Bielecki *Gra w miasto*, s. 17.

<sup>18/</sup> Tamże.

## Jarzębski Zniszczenie centrum

szawie, to zapewne dlatego, że stare centrum – choć zdewastowane i pozbawione atrakcyjności jako miejsce do mieszkania – pozostało mimo wszystko agorą, na której zawsze spotykali się krakowianie. Warszawie powojennej takiej agory zabrakło, nie mogły jej bowiem stworzyć ani pompacyjne i odpychające gmachy centralnych urzędów i ministerstw, ani biedna i tandetna z konieczności przestrzeń śródmiejskich centrów handlowych, fascynująca najwyżej klientów z pozastolecznej prowincji. Tłum warszawski z ostatnich lat komunizmu – co widać najlepiej w opowiadaniach z *Kraju świata* Andermana – „nie ma się gdzie podziąć”, jest osierocony i zagubiony. Tłum dzisiejszy – ten z Wojciechowskiego *Szkoły wdzięku i przetrwania* – jest już zabiegany i zaaferowany, ale jego interesy są na miarę drobnego szwindlu, z którego kiedyś może zrodzi się prawdziwy kapitał i interesy w wielkiej skali.

Chciałem w tym tekście przedstawić pewne procesy, które zachodzą równolegle na wielu poziomach życia społecznego i odbijają się w literaturze. Nie jest bowiem tak, jak mniemają niektórzy, że fascynacja prowincją, „małymi ojczyznami” czy zgoła zagranicą – tak dobrze widoczna w prozie Andrzeja Stasiuka, Olgi Tokarczuk, Pawła Huelle, Stefana Chwina, Anny Boleckiej, Nataszy Goerke, Zyty Rudzkiej – to kwestia literackiej mody. Szukanie przestrzeni obdarzonej sensem i zdanej do zamieszkania z dala od centrum (metropolii, kraju) świadczy o przeżywanych przez nie schorzeniach i przetrwa co najmniej tak długo, jak długo centrum nie odzyska swej atrakcyjności jako przestrzeń bogata i nasycona autentycznymi wartościami – w sferze zarówno ekonomii, jak kultury. Ten, kto chce się dowiedzieć czegoś istotnego o stanie społeczeństwa, powinien zatem czytać równie uważnie znaki wytwarzane przez jego literaturę – jak i te, które tworzą jego miasta. Tu i tam widoczne są zarówno procesy wiodące społeczeństwo, jego zbiorowego ducha, architekturę i kulturę do stanu „miazgi”, jak i te, które obrazują mozół wznoszenia na powrót konstrukcji i struktur wartości – choćby w ich postmodernistycznej, zawsze migotliwej i nieostatecznej wersji. Historia architektury naszego zbiorowego domu i historia życia i myśli zakłętej w literaturę stają się wtedy dla nas tym, czym są rzeczywistość: wariantami tej samej historii, którą przeżywa – na wielu poziomach – ludzka zbiorowość.

